



Nowotka
na skajpie

AKAPIT
PRESS

Agnieszka Tyszka

Pociąg mknął pośród szarzejących pól. Tu i tam błyskało złotem i czerwienią – drzewa dopiero zaczynały zmieniać kolor. Od czasu do czasu z nieba chlustały strumienie wody – zupełnie jakby pojazd dostawał się na kilka minut w jakąś magiczną strefę deszczową.

Amanda gapiała się bezmyślnie w jesienny krajobraz. Była zmęczona. I trochę zła. I zupełnie nie miała siły czytać gazety, kupionej na dworcu. Nie mówiąc już o książce, którą w ostatniej chwili zwinęła z nocnej szafki mecenas Goździckiej. Zwabiła ją okładka – gorąca, hiszpańska, z parą tańczącą tango. Może zajrzy do niej w drodze powrotnej... Teraz miała głowę pełną ścierek, mopów, dziecięcych ubranek, zabawek itp. Dom lekarki stanowiłby prawdziwe wyzwanie dla profesjonalnej sprzątaczkę, a Amanda była przecież tylko amatorką... I do tego nie przepadała za dziećmi... Wszędzie zostawiały lepkie i trudne do usunięcia ślady... A ich pokoje przypominały gigantyczne stogi siana. Jeśli miałyby zdecydować, co z tym wszystkim zrobić, najchętniej wybrałyby opcję o nazwie „delete” i jednym kliknięciem pozbyłyby się całego bałaganu. Ostatecznie użyłyby klasycznego narzędzia jakim są widły. Znakomite do wytrząsania wiadomo czego...

Naprawdę przeżyła chwilę grozy, gdy gospodyni otworzyła przed nią pokój Leny, a potem Antosia... I szczerze rozważała, czy przypadkiem nie należałoby zwiać od razu... Gdyby nie mieszkająca po sąsiedzku Aldona, to kto wie, czy tak by się to wszystko nie skończyło... Z pewnością czułaby się wtedy o wiele lepiej niż teraz...

Chrapliwy komunikat przerwał jej ponure rozmyślenia. Męski głos poinformował w wyraźną ulgą, że oto zbliżają się do Krakowa. Bogu dzięki! Pociąg miał półtorej godziny opóźnienia z przyczyn technicznych i matka już dawno zrezygnowała z czekania na peronie. Przysłała za to szczegółowego esemesa, w jaki sposób Amanda ma dotrzeć na ulicę Świętej Anny. Na oko wydawało się to dziecinnie proste...

Z czyściutkiego dworca dostała się do galerii handlowej, a potem na zewnątrz. Podmuch wiatru o mało nie zwał jej z głowy beretu, ale złapała go w ostatniej chwili. Potem

wiatr nagle ustał i dało się spokojnie zejść do podziemnego przejścia, a później ruszyć dalej przez Planty, dokładnie tak jak napisała matka.

Pięknie tu było! Bruk lśnił od deszczu, gdzieś złożyły się opadłe liście. Ciepła jesień sprawiła, że z wiszących tu i tam doniczek wylewały się kaskady kwiatów, a światło latarni wydobywały ich intensywne kolory. Z naprzeciwka nadjeżdżała dorożka i Amanda pierwszy raz pomyślała, że ten wyjazd to jednak był niegłupi pomysł!

Szła sobie niespiesznie, rozglądając się na prawo i lewo. Mimo brzydkiej pogody i dość późnej pory, na uliczkach pełno było turystów, a z uchylonych okien restauracji i kafejek dobiegały głosy rozmów i dźwięki muzyki.

To jest żywe miasto! – pomyślała z zazdrością. Warszawa, jaką znała, zasypiała zdecydowanie za wcześnie!

Ulicę Świętej Anny znalazła bez większego problemu i natychmiast zaczęła rozglądać się za numerem trzynastym. Wszystko było dokładnie tak jak w esemesie. Kamienny stopień i ozdobna, stara brama...

Amanda zrobiła krok w jej kierunku. Była piękna, wykuta z żelaza, cała z powyginanych finezyjnie liści i pędów. Dziewczyna przejechała po nich dłonią, a potem dotknęła kamiennej ściany. Kamień był gładki, miejscami porowaty i widniał na nim jakiś ornament – jakby dwa skrzyżowane, wielkie klucze.

Dziwny znak – pomyślała i wskazującym palcem powiodła po ścianie. Kiedy oderwała dłoń od kamienia, nagle zrobiło się zupełnie ciemno, choć przecież jeszcze przed chwilą ulice oświetlały latarnie. Przestraszona rozejrzała się na boki, choć nie miało to żadnego sensu.

-A cóż to tu waćpan czynisz pode cudzymi drzwiami?! - huknął nagle jakiś straszny, chrapliwy głos. Amanda o mało nie umarła ze strachu. Poczwała jak uginają się pod nią kolana

i spoconą dłonią namacała w ciemności jakiś wilgotny, lodowaty mur. Brr!!! Natychmiast cofnęła rękę i wsadziła ją do kieszeni.

- Czyliż waść nie słyszał dzwonu ratuszowego bicia? – grzmiał dalej głos, należący do jakiegoś zwalistego faceta w bardzo dziwnym stroju.

W tych egipskich ciemnościach niewiele można było zobaczyć, ale z zaułka nadchodził właśnie ktoś z ledwo żarzącą się latarnią. W jej chybotliwym świetle Amanda dojrzała straszną gębę z wielkim nosem i gęstą brodą. Odsunęła się z odrazą w stronę wilgotnego muru.

-Czyliż waść głuchym jest? – ryknął brodac. - Onaż godzina dawno ogłoszoną była. Dzwony z ratusza wszemu miastu obwieściły bram zamknięcie i kroków wszelakich ustanie. Azaliż młodzianku zwady tu szukasz czyli rabunku jakowego? Cóżeś za jeden? Nigdy jam cię tu na oczy nie widział!

Facet postąpił krok ku Amandzie, a gość z latarnią znalazł się tymczasem w niepokojącej bliskości i krzyknął dziarskim głosem:

-A co tam Stachu? Naszłeś jakowego gagatka, chętnego zwiedzić po nocy ratuszowe piwnice?

-Kto to wie, mój Macieju! Dziwnie mu jakoś z oczu patrzy... - Brodac nachylił się blisko i Amanda poczuła bardzo nieprzyjemny zapach.

-Won, dziadu! – wrzasnęła donośnym głosem. - Zęby sobie lepiej wyczyść jakąś miętowa pastą! O płynie do ust to pewnie nie słyszałeś! Współczesna stomatologia zawyłały nad tobą z rozpacy! Zakład, że przydałaby ci się proteza albo implanty, jak masz dość kasy!

-O czym on gada, Stachu? – zapytał ten z latarnią.

-A bo ja wiem? Głosik toto ma jako dziewczucha, ale odzienie żakowskie nosi. Może to jakie specjalne gadanie, co go ich na Akademii wyuczają całymi dniami?

-Ostawcie go, panie! – rozległo się nagle z bramy, którą Amandzie udało się wypatrzeć w mizernym świetle latarni. Z półmroku wychyliła się postać odziana w luźną

bluzę oraz spodnie. Spod dziwnego beretu wysuwały się jasne włosy, podświetlone wątlým blaskiem latarni.

-A tyś kto? – zapytał groźnie Stach.

-Jam jest Jakub z Gniezna, żak krakowski, w bursie tutejszej zamieszkały...

-Jakub syn Dominika, znam ci go – kiwnął głową Maciej. -Ten tu – wskazał na Amandę – znajomek twój?

-A jużci, panie! Krajan sercu bliski, dopiero co przybyły, zwyczajów nie zna, a i okolica zda mu się obcą... Szybko się wyuczy, z moją pomocą... tedy pozwólcie pójść mu ku bramie, gdzie czekał go niecierpliwie od godzin kilku...

-Idźże, młodzianku hardy – burknął Stach i nareszcie odsunął się od Amandy na bezpieczną odległość. Na tyle bezpieczną, że nie musiała już mieć do czynienia z jego zębami, czy mówiąc precyzyjniej – z morderczą wonią jego brodatej paszczy.

-Dzięki, waćpanom, oby noc wam spokojną była... - rzekł Jakub skądś tam. Zdenerwowana Amanda nie zapamiętała dokładnie. Dla niej był po prostu Jakubem z bramy i tyle.

-I wam dobrej nocy, żakowie – mruknęli mężczyźni i odeszli wolnym krokiem w kompletną ciemność.

-Możesz mi powiedzieć, o co tu w ogóle chodzi? – zapytała gdy tylko pochłonął ich mrok.

-Cóżbyś to chciał wiedzieć? – odparł pytaniem Jakub i uniósł nieco wyżej świeczkę, osadzoną na kawałku drewna.

-No jak to? Film jakiś kręcicie, czy jak? Wszędzie ciemno, śmierdzi jak w najgorszym kilblu! Jakieś dziady napadają na człowieka i wygrażają jakby było za co! Do aresztu? Za chodzenie po nocy?

Amanda umilkła gwałtownie, zdając sobie sprawę z tego, że nie wyraża się w sposób elegancki. Może nie powinna komentować tej woni, której obecność uświadomiła sobie,

kiedy tylko brodaty zniknął z horyzontu. Nie owijając w bawełnę - zajeżdżało tu głównem i to całkiem niezłe.

-Ciii... Zamilknij, proszę! Ściany tu uszy mają i niejedno przeciw tobie obrócić się może...

- szepnął Jakub z bramy. –A co do pomienionych strażników, których waść dziadami pozywasz... Słuszną powinność swoją jeno czynili o tak późnej porze...

-Późnej porze? Nie żartuj! Jeszcze się nawet porządne imprezy nie zaczęły! Młoda godzina!

-Ciii... Zamilknij, proszę... Dziwna twoja mowa, jako i strój dziwaczny...

-O co ci chodzi? Dżinsy? Bluza? Beret? No płaszcz trochę odjechany, fakt... Ze szmateksu, hiszpański... Wszystkie dziewczyny się podobnie ubierają! –Amanda nie kryła swego oburzenia. Ten cały Jakub skądś tam każe jej być cicho z jakichś głupich powodów, a do tej pory nie odpowiedział na konkretne pytanie – o co tu w ogóle biega?!?!

-Dziewczyny? Czyli białogłowy? – zainteresował się nagle.

-Jak sobie chcesz! Mogą być i białogłowy! – warknęła i szczerzej otuliła się płaszczem. Wiało coraz bardziej i jakby coś zaczynało padać?

-Tedy niewiastą jesteś, pani... W męzowskim odzieniu...- westchnął ciężko wybawiciel Amandy.

-Słuchaj, koleś! A co to ma za znaczenie? Jak w spodniach to ma być od razu facet? A jak w sukience to dziewczyna? To jakiś cholerny stereotyp. Nie słyszałeś o gender?

Jakub spojrział na nią ze zdumieniem i na chwilę jakby zupełnie odebrało mu mowę.

-Non genus, non genius, non gens, si credere fas est, sed mens nobilitat nobili tata virum – rzekł z wolna.

-Że co? – Amanda nigdy nie była mocna z łaciny i w tej jednej chwili bardzo tego pożałowała. Wprawdzie słowo genus nie było jej obce, bo pamiętała je doskonale z genderowych lekcji, jakie zorganizowała im niedawno polonistka. To znaczyło – płeć albo rodzaj. Niestety cała reszta pozostawała zagadką...

-Ni urodzenie, ni umysłu przymioty ani familija, jeno umysł szlachetny męża blaskiem mądrości zdobić może – wyjaśnił bez chwili wahania Jakub.

-A co z żoną?! Ona ma być durnowata? Nie wydaje ci się maksymalnie wkurzające, że w tych cholernych łacińskich sentencjach ani słowa o babkach? A jak już coś się znajdzie, to same głupoty, złośliwości albo jakieś seksizmy!

Jej rozmówca zamrugął gwałtownie, a płomień świecy zawtórował mu chybotliwie. Amanda zauważyła z niepokojem, że ten ogarek na długo nie wystarczy i postanowiła przyspieszyć bieg zdarzeń.

-Słuchaj, ja muszę wracać do domu! – powiedziała stanowczym tonem. – Nie wiem tylko, którędy iść. Jestem tu pierwszy raz. Od dworca kolejowego to nawet prosta droga... Matka na mnie czeka przy Świętej Anny trzynaście. To taka ładna żelazna brama, na pewno ją znasz. Tu gdzieś, o! – Dziewczyna machnęła ręką w stronę wilgotnego muru.

-O tej porze nijak nam ulicami wędrować! Kara za to narychtowana w ratuszowych piwnicach! A i niemało rabusiów pospolitych wszędy pomyka, co to jeno czekają, by człeka ograbić do cna... - oznajmił Jakub grobowym głosem.

-Żartujesz? A co z policją? Strażą miejską? Nie macie tu jakichś nocnych patroli jak w Warszawie?!

-A jużci! Dopiero co cię jeden obaczył!

-Te dwa ponure typy z latarnią? To ma być straż miejska? Żartujesz sobie!

-Jako cię zwa, pani? – Jakub na wszelki wypadek postanowił radykalnie zmienić temat.

-Amanda do cholery! A jakie to ma teraz znaczenie?! Proszę cię o pomoc!

-I teźże ci nigdy nie odmówię, jakem... Jakub z Gniezna... Homo homini consulere debet... Amanda syknęła niezadowolona, a razem z nią zasyczał płomień świecy.

-Człek człekowi winien spieszyc z pomocą... - chłopak nie zwlekał ani chwili z wyjaśnieniem. -Jako i ja ruszyłem ku tobie, z okien widząc, co się u bramy szykuje... Z dała

żakiem mi się zdałaś, co to zbłąkany po długiej podróży szuka schronienia przed nocą. Dopiero co nauki ruszają w naszej przezacnej Akademii, która Fons doctrinarum irrigens, de cuius plenitudini hauriant cupientes. Źródłem jest wiedzy obfitym, z którego spragnieni czerpać mogą...

Amanda zgrzytnęła zębami. Boże! To przecież zupełny łacińskojęzyczny maniak! Może przedstawiciel jakiejś dziwacznej sekty? Kto wie, czy nie ma ich tutaj więcej? Werbują prosto z ulicy niewinnych ludzi i wciągają ich do środka pod pozorem obowiązywania godziny policyjnej! Koszmar! Szkoda, że matka nie wspomniała o tym na skajpie i to ani razu. Musiała się przecież natknąć na takich świrów z sąsiedztwa. Trudno byłoby ich nie zauważyć. Chociaż... Z drugiej strony to przecież ogromne miasto, pełne studentów, turystów... Ludzie naprawdę potrafią ubierać się odjazdowo i zachowania też miewają nieraz całkiem odlotowe. Ale bez przesady...

-Dosyć tego! – burknęła w końcu Amanda. – Co właściwie mi proponujesz?

-Jako, że z pozoru żakiem się zdajesz, powiodę cię schodami prosto do izby, gdzie wszyscy już pewnie dawno posnęli. Tam do ranka przebiedujesz, a ze słońca świtaniem za bramę cię wyprowadzę...

-Oszalałeś?! Mam spać w jakimś męskim akademiku? Nie możesz mnie zaprowadzić do żeńskiego?

Jakub najwyraźniej się stropił.

-Jakże to? – zapytał głupkowato.

-Także to! Chyba mi nie powiesz, że takich w ogóle tutaj nie macie! Przecież na uniwersytecie studiują dziewczyny!

Jakub drgnął nerwowo i ostrożnie rozejrzał się na boki, zupełnie jakby w ciemnościach czaili się jacyś szpiedzy.

-Ciii... - szepnął. – Takowe herezyje wprost do aresztu prowadzić mogą... - wyszeptał, poprawiając włosy, wysuwające się spod beretu.

-O czym ty gadasz? – rozzłościła się Amanda.

-Prawdę najczystsza! Wśród żakowskiej braci ani jednej dziewczyny nie uświadczysz... Chyba, że się która w męskie odzienie skryje i z miłości ku nauce wiedzę czerpie...

-Bredzisz i tyle! – burknęła Amanda, a on specjalnie się nie obraził, tylko wskazał w kierunku kamienicy, jakby zapraszał do środka.

Amandzie wydało się to wszystko tak niedorzeczne, że nawet nie podziękowała. Bo i za co tu było dziękować? Nie mógł jej po prostu frajer jeden od razu zaprowadzić pod wskazany adres? Przecież wyraźnie mu powiedziała – Świętej Anny trzynaście! Nagle poczuła, że jest strasznie, ale to strasznie zmęczona. Zupełnie jakby ktoś nagle zrzucił jej na plecy wielki ciężar. Niemal oparła się o ścianę i poczuła, że zaraz zaśnie...

-No, dobra... - skapitulowała, czując, że dzieje się z nią co dziwnego. – Chodźmy do tej chałupy, póki świeczka jeszcze się tli...

Brama zaskrzypiała, gdy zamykali ją za sobą.

-Stąpaj ostrożnie, Amando – poradził jej szeptem i zaczęli powoli wspinać się po wąskich schodach.

Pachniało tu trochę lepiej niż na zewnątrz, ale dziewczyna i tak musiała parę razy zatkać nos. W powietrzu czuć było jakąś pleśń, a może nawet i stęchliznę? I dziwny zapach, którego zupełnie nie знаła... Taki jakby intensywnie ziołowy.

Pomyślała, że powinna koniecznie wyjąć z plecaka swoje perfumy – miała na szczęście malutką próbkę... W przeciwnym wypadku chyba oszaleje od tych niezbyt apetycznych woni...

-To tutaj... – szepnął Jakub, wskazując jakieś obskurne, drewniane drzwi jak dla krasnoludka. Amanda musiał się schylić, by przez nie przejść i potknęła się o wysoki próg...

*

-Amanda? Bogu dzięki! Długo tak tutaj stoisz? Mało nie umarłam ze strachu, telefon nie odpowiada... Myślałam, że coś ci się stało... Jakaś katastrofa kolejowa... Albo nie daj Boże jeszcze cię napadli gdzieś po drodze...

-Mama? Nie Jakub z Gniezna? Homo homini consulere debet?

-Co takiego?! – Biedna Lucyna Drabińska omal nie przewróciła się z wrażenia. Jej córka mówiąca po łacinie?! Z własnej woli i do tego w sobotni wieczór?! To było naprawdę szokujące!

Amanda ocknęła się jakby ze snu, ale przecież nie mógł to być sen! Ciągle stała przed żelazną bramą, tyle tylko, że teraz ulica Świętej Anny wyglądała najnormalniej na świecie. W oknach świeciły się światła, wokół były zapalona latarnie, a z oddali napływał przyjemny zapach świeżo upieczonej pizzy, połączony z cierpkawą wonią jesiennego wieczoru. No i najważniejsze! Stała przed nią jej rodzona matka - wyraźnie zdenerwowana.

-Amanda?!!! Dziecko kochane! Czy ty się dobrze czujesz? – zapytała z rozpaczą w głosie.

-Trochę dziwnie... Dziewczyna zsunęła берет i rozpięła paszcz. Było jakoś wyjątkowo ciepło. Nie wiało i nie padało nic a nic.

Pociągnęła nosem, łapiąc przyjemne zapachy. – Mniem – powiedziała, myśląc o pizzy. A potem zmarszczyła brwi i zapytała – Znasz tu w okolicy jakiegoś Jakuba z Gniezna?

- Z Gniezna? – Matka zrobiła wielkie oczy. –Dlaczego miałby być akurat z Gniezna, a nie z Krakowa?

-Mówił mi, że przyjechał z Gniezna...

-A... A spotkaliście się w pociągu...

-Nie! Tutaj obok... Nie masz pojęcia jaki tu był smród... I ciemno... I jakieś dziady się mnie czepiały...

-Amanda?

-Tak?

-Nie znam żadnego Jakuba, ale zapraszam cię na górę, na pizzę... - zaproponowała nieśmiało Lucyna. Najwyraźniej była zbita z tropu i kompletnie nic nie rozumiała. Amanda zresztą także średnio orientowała się w sytuacji. Na szczęście chciało jej się jeść. I to bardzo.

-To twoja pizza tak pachnie na całą ulicę? Super! Umieram z głodu! – zawołała w typowy dla siebie sposób i matka nareszcie odetchnęła z ulgą.

Mieszkanie było ogromne i ponure. W długim, mrocznym korytarzu majaczył ogromny, kaflowy piec. Amanda dotknęła go, przechodząc obok. Miał ładne, ozdobne kafelki w delikatnym, zielonkawym kolorze.

W korytarzu znajdowało się co najmniej sześć drzwi o rozmiarach XXL. Dziewczyna wyobraziła sobie, że w pomieszczeniach, do których prowadziły, muszą chyba mieszkać jakieś olbrzymy... Nie pomyliła się zbytnio – pokój matki zmieściłby swobodnie ze trzy żyrafy dowolnego wzrostu...

Z balkonu widać było ulicę i okna sąsiednich kamienic, a na ścianie wisiał ponury obraz przedstawiający jakąś miejską bramę i tłum ludzi w dziwnych strojach.